

Nowe idzie

Juraszek Kilian Majka Małecki
Miszczak Olejniczak Przechrzta Rogoża
Skalska Wegner Zbierzchowski

Nowe idzie

pod redakcją Michała Cetnarowskiego



powergraph

Warszawa 2008

Copyright © 2008 by Powergraph,
Słów kilka tytułem wstępu copyright © 2008 by Michał Cetnarowski,
Noc szarańczy copyright © 2008 by Jewgienij T. Olejniczak,
Przenicowanie copyright © 2008 by Tomek Kilian,
Harpunnicy copyright © 2008 by Andrzej Miszczak,
Więcej niż słowa copyright © 2008 by Piotr Rogoża,
Smak apokalipsy copyright © 2008 by Adam Przechrzta,
Wyspa copyright © 2008 by Joanna Skalska,
Oko Cyklonu copyright © 2008 by Paweł Majka,
Rzyg copyright © 2008 by Dawid Juraszek,
Najpiękniejsza historia wszystkich czasów copyright © 2008 by Robert M. Wegner,
Płonąc od środka copyright © 2008 by Cezary Zbierchowski,
Każdy umiera za siebie copyright © 2008 by Jakub Małecki,
Zamiast postawia copyright © 2008 by Łukasz Orbitowski, Maciej Guzek,
Rafał Kosik,
Copyright © for the cover by Rafał Kosik.
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Projekt graficzny, ilustracje i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
tel./fax 022 631 48 32, 022 632 91 55, 022 535 05 57
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 022 834 18 25, 022 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-04-2

Printed in Poland

Nowe idzie?

Czyli słów kilka tytułem wstępu

„— Kiedy start? — spytałem i usłyszałem szmer, jakby ziarenka najdrobniejszego piasku sypały się na membranę.
— Lecisz już, Kelvin. Bądź zdrow! — odpowiedział bliski głos Moddarda. Zanim w to uwierzyłem, na wprost mojej twarzy rozwarła się szeroka szczelina, przez którą zobaczyłem gwiazdy.”

Stanisław Lem, *Solaris*

Od zbioru *Robimy rewolucję* z 2000 roku – antologii w wyborze Artura Szrejtera, w której znaleźli się autorzy związani z *Klubem Tfurców* i, przynajmniej w części, skłaniający się do wizji fantastyki prezentowanej przez redakcję miesięcznika „Fenix”; w linii prostej spadkobiercy zbiorów *Miłosne Dotknięcie Nowego Wieku*, kolejnych *Wizji Alternatywnych* Wojtka Sedeńki czy *Co większych much* i *Pożeracza szarości* Macieja Parowskiego, który redaktorsko stał także za *Miłosnym Dotknięciem...* – w Polsce nie było chyba antologii, która próbowałaby przekrojowo odpowiedzieć na pyta-

nie: „Jaka jest współczesna fantastyka?”. Minęło osiem lat. Wiemy, skąd idziemy – ale czy wiemy dokąd? Wbrew obiegowym opiniom, futurologia nigdy nie była mocną stroną fantastyki. Czy zatem próba przewidzenia ścieżek, jakimi może pójść w naszym kraju science fiction, ma w ogóle sens? A może wystarczy prześledzić historię fantastyki anglosaskiej i na tej podstawie pokusić się o analogię? Trudno jednoznacznie zawyrokować – na szczęście *Nowe idzie* nie ma wróżyć z fusów, antologii przyświeca raczej ambicja dania obrazu rzeczywistości zastanej: tego, w jakim momencie znajduje się obecnie polska fantastyka i jak prezentuje się kolejne wchodzące na pisarską scenę pokolenie twórców. Czy podobny zamiar się powiodł – czy w ogóle jest możliwe zatrzymanie popkulturowego (artystycznego?) procesu na takiej zamrożonej stop-klatce? Z pewnością warto było spróbować.

Od czasu przełomu wieków – pojawienia się magazynu „Science Fiction” i lubelskiej Fabryki Słów – dużo się w fantastyce zmieniło, nastąpiło zwieńczenie procesu, który rozpoczął się tuż po transformacji ’89 roku. Wcześniej misją literatury, a więc i fantastyki, było nieść czytelnikowi pocieszenie, a zafałszowanemu światu wymierzać sprawiedliwość; kiedy zabrakło jasno zdefiniowanego wroga, misją stało się „niesienie rozrywki”. Książki na wolnym rynku stały się towarem jak każdy inny. Dla niektórych (autorów i czytelników) było to jak wyrwanie się z krępujących okowów. Można było zacząć pisać „dla zabawy”, uwolnić wyobraźnię z kajdan literackich powinności, sięgnąć bez kompleksów do głębokiego wora popkultury, bez wstydu pisać i czytać tzw. dobre czytała. Dla innych nowa sytuacja wiązała się z ujednoliceniem i zubożeniem języka (bo w ten sposób można pisać – i czytać – szybciej), wtórnością, błahością podejmowanych tematów, pisaniem pod gust uśrednionego – bo jak najszerszego – *targetu*. Jeśli literatura miała kiedyś (wg jednej z definicji, może wcale nie najtrafniejszej) być zbeletryzowanym zapisem wewnętrznych stanów autorów – to w nowej sytuacji, w obrębie fantastyki, zaczęto od tego

raczej odchodzić. Jak bowiem „zamówić” książkę o cierpieniu lub radości? Odrąbać autorowi mały palec u nogi? Wybić na krawężniku jedynki? (Z radością, zdaje się, byłoby łatwiej – być może wystarczyłaby suta zaliczka...). Fantastyka zaczęła być „rozrywkowa” i „problemowa” (w klasyfikacji co najmniej kuriozalnej, bo zakładającej z góry „nierozrywkość” utworów poważniejszych i zaangażowanych). Zwolennicy jednej bądź drugiej frakcji zostali zantagonizowani. Wytuczono linię okopów, rozciągnięto zasieki. Wśród przypadkowych ofiar nie zabrakło cywili (recenzentów i krytyków). Zaczęła się cicha wojna.

A dziś, być może, nadszedł czas, żeby ściągnąć z broni bagnety argumentów i wrócić do domu. Nowe idzie.

Czy ktoś chce, czy nie chce, fantastyka się zmieniała. Kiedyś tylko za pomocą jej kodu można było mówić o czerwono-czarnej rzeczywistości za oknem, zza którego straszły koksowniki i czołgi na ulicach. Dziś z wykrzykiwania najróżniejszych tez i diagnoz utrzymuje się kilkadziesiąt (kilkaset?) gazet i kilka stacji telewizyjnych. Fantastyka może o tym mówić także – jak każda inna literacka konwencja; ale może też bez przeszkód służyć jako umilacz czasu w tramwaju, w drodze do pracy. Oglądamy pełne efektów specjalnych filmy – czemu fajerwerki i erupcje miałyby ominąć także książki fantastyczne; wszak ponoć właśnie tutaj wszystko może się zdarzyć? Kiedyś teksty science fiction miały bardziej uczyć, niż bawić; dziś, przynajmniej w części, bardziej chcą bawić, niż uczyć. Czy to źle? Tak, w jakimś stopniu zapewne tak. Co zrobić – strzałka historii odchyliła się, dziś znajdujemy się w innym miejscu na popkulturowym wykresie. Czy można zatrzymać ten proces? Zapewnie nie – kijem nie zawróci się trendu, a ogólnym dekretem nie odmieni ducha czasu. Można jednak dołożyć starań, żeby rzeka przemian nie wystąpiła z brzegów tam, gdzie zaleje zasiewy i zatonę to, co najcenniejsze.

Wśród rozmów dotyczących współczesnej polskiej fantastyki nad wyraz często pojawiają się głosy o zapaści i ogól-

nej mizerii. Niby nie wypada się nie zgodzić, kiedyś już nie doceniono Kasandry, na skutek czego upadła Troja. Skoro jednak jest tak źle, to czemu jest, no, przynajmniej nie najgorzej? Rzućmy krótko okiem na listę polskich powieści, spośród których można było wybierać tytuł roku 2007 w plebiscycie Katedry: możemy tu znaleźć *Lód* J. Dukaja, *Oberki do końca świata* W. Szostaka, *Sternberg* Sz. Twardocha (a należałoby dodać *Epifanię wikarego Trzaski*), *Tracę ciepło* Ł. Orbitowskiego, *Padlinę* J. Soboty; miłośnicy fantastyki spod znaku „literatury lżejszej” znajdą tam i 2. tom *Pana Lodowego Ogrodu* J. Grzędowicza, i *Królikarnię* M. Guzka. Ogółem – gdyby jeszcze poszukać, zebrałyby się tego około dziesięciu z pewnością wartościowych pozycji, niewiele mniej niż jedna na miesiąc. Czy to mało? Tak, z punktu widzenia czytelnika mało. Z pewnością mogłoby być lepiej. Ale, patrząc obiektywnie – czy to rzeczywiście tak mało? Zapewne gorzej wygląda sprawa debiutów i „prawie-debiutów” – wyżej wymienione książki to utwory autorów rozpoznawalnych i mających już dość mocną pozycję w czytelnicznym środowisku. Jednak czy i tu nie da się wyjść z sytuacji obronną ręką? Jak mówi przysłowie, nie od razu Kraków zbudowano. Po co jednak wytyczać granice, zalewać fosę wrzącą smołą, kopać wilcze doły i wystawiać na wiatr czarne proporce? Fantastyka, jak literacki kot Schrödingera, może być zarazem poważna i niepoważna; może bawić i uczyć. Antologia *Nowe idzie* jest właśnie taką próbą przetrzucenia pomostu ponad postawionymi barierami.

Założeniem po platońsku idealnym było zebrać najciekawszych autorów młodego pokolenia (już nie debiutantów, ale jeszcze nie laureatów NIKE) – i spróbować pokazać, jak wygląda polska fantastyka A.D. 2008. Jak to często bywa z ideałami, planu maksimum nie udało się niestety zrealizować w całości. Skład autorski tworzą, w porządku ukazywania się w zbiorze, Jewgienij T. Olejniczak, Tomasz Kilian, Andrzej Mischczak, Piotr Rogoża, Adam Przechrzta, Joanna Skalska, Paweł Majka, Dawid Juraszek, Robert M. Wegner,

Cezary Zbierzchowski, Jakub Małecki. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to oczywiście brak Kuby Nowaka. Niestety, mimo próśb i gróźb, propozycji przyjęcia korzyści majątkowych, anonimowych listów i głuchych telefonów – Kuba z przyczyn osobistych nie mógł znaleźć czasu na napisanie do zbioru nowego tekstu. (Przy okazji – wszystkiego najlepszego, Kuba, dla Ciebie i Agaty, z okazji ślubu!). Autor wszakże może czuć się usprawiedliwiony – redaktor już niekoniecznie. Podobnych „niedociągnięć personalnych” można by zapewne wytknąć więcej, wszelako już chyba nie tego kalibru; przy subiektywnym wyborze podobne kontrowersje będą jednak pojawiały się zawsze. Ogólnie założenie było takie: wybrać twórców nowego pokolenia, którzy nie tylko interesująco i różnorodnie piszą, ale także dali się poznać z kilku publikacji, powoli umacniają się już na obrzeżach rynku (dlatego np. brak Filipa Haki, autora wspaniałych literackich miniatur, który jednak na rodzimym fantastycznym poletku postawił dopiero pierwszy krok). Kiedy zaczynaliśmy, żaden z autorów poproszonych o napisanie tekstu nie miał za sobą publikacji książkowej. Dziś, po pół roku prac, w pełnym metrażu debiutował już Przechrzta, Rogoża, Małecki, Zbierzchowski; w redakcyjnych kolejkach oczekują Olejniczak, Juraszek, Kilian; dłuższe teksty przygotowują Wegner, Majka, Miszczak i Skalska. Być może zatem redaktorski strzał nie był aż tak bardzo chybiony?

Przy pracach nad opowiadaniem przyświecało nam jeszcze jedno założenie – żeby napisać tekst być może już rozpoznawalny dla stylu danego autora, ale jednak nieco inny od tego, co publikował do tej pory. Jest jakiś temat, z którym do tej pory się nie zmierzyłeś? Pisz. Założenie strukturalne, które nie mogło się przepchnąć przez wąskie redakcyjne gardło, blokując się na wypustach imiesłowów i zadziorach długich akapitów (albo, odwrotnie – imiesłowów w nim brak, a miniakapity zbyt krótkie)? Spróbuj. Tekst ma być zrozumiały, nie może przekroczyć „granicy bełkotu” – ale to przecież jasne.

Fantastyka jednak to także część literatury – może zatem czas, żeby pisane teksty spróbowały być również piękne?

Jak nam wyszło? Trudno uwierzyć redaktorowi i wydawcy, kiedy będzie zachwalał i mówił: „Chyba nieźle”. Efekt na szczęście można ocenić samemu. Trzymają go Państwo przed sobą w rękach.

Nowe idzie tworzy jedenaście tekstów. Olejniczak w scenografiach umierającego Paryża pisze „XIX-wiecznego fallo-uta”. Kilian jako chyba pierwszy autor od czasów *Mięsa kobiet* Rafała Ziemkiewicza, tak odważnie i z powagą (bez Ziemkiewiczowego mrugania okiem) próbuje się zmierzyć z tematem seksualności i cielesności (byłaby to pierwsza jaskółka polskiego odpowiednika brytyjskiej nowej fali...?). Miszczak i Majka wracają do space operowych korzeni science fiction; ten pierwszy próbuje w kameralnym tekście wskrzesić (na razie jeszcze z pozycji czeladnika przy mistrzach?) świetne tradycje kosmicznej fantastyki religijnej (Dukaj, Huberath, Szyda); ten drugi stawia na istic kosmiczny rozmach wyobraźni i akcję rozciągniętą na setki milionów lat. Rogoża, w opowiadaniu oryginalnie wystylizowanym językowo, próbuje dać fantastyczną odpowiedź na *Radio Armageddon* Jakuba Żulczyka – dialog artystyczny, jak widać, bez problemu może przekraczać granicę konwencji. Przechrzta w swoim komiksowym, westernowym stylu odchodzi od fantasy i pisze tekst postapokaliptyczny. Skalska jest pierwszą autorką (kolejna jaskółka w gronie?), która pisze tzw. fantastykę emigracyjną; doświadczenia z kilkuletniego życia za granicą przekuwa na charakterystyczne, uwspółcześnione *weird tales* (trudno o lepszy dowód na to, jak zaokienna rzeczywistość – w zgodzie z najlepszymi tradycjami science fiction – może przeplatać się z literaturą). Juraszek próbuje zreaktywować – podług zupełnie nowych założeń – tzw. fantastykę słowiańską. Wegner pisze fantastykę militarną bliskiego zasięgu, w scenografiach dla siebie może niecodziennych – jednak, co już jest dla niego rozpoznawalne, pod płaszczykiem galopującej akcji i mięsistej fa-

buły, nie bojąc się jednocześnie mówić o prawdziwych uczuciach i rzeczach najważniejszych. Odwołując się do założeń psychologii, Zbierzchowski tworzy bogatą literacko i przemyślnie skonstruowaną opowieść o poszukiwaniu tożsamości i zagubieniu duszy; byłby to przewrotny komentarz do tego, na jakim zakręcie znalazła się wychowana na Freudzie „cywilizacja zachodu”...? Małecki w konwencji parahorroru wraca do współczesności, pisząc o emocjach i uczuciach, przed jakimi staje grupka młodych żołnierzy postawionych w obliczu śmierci.

Jaka zatem jest polska fantastyka A.D. 2008? Czy obrała kurs na człowieka (przynajmniej w części), nie na naukowe spekulacje i gwiazdy? Losy cywilizacji pod autorskim pręgiem zajęły losy jednostek; równie bogate co Uniwersum, okazuje się ludzkie interwersum? Żeby nie pozbawiać czytelników przyjemności z lektury i samodzielnego intelektualnego rozgryzania zaprezentowanych tekstów, a zawodowym recenzentom i krytykom nie odbierać chleba, zamiast spróbować odpowiedzieć na te pytania, wypadaloby w tym miejscu przerwać tę nieco kłopotliwą (i i tak już dość obszerną) autoegzezę.

Jedno jest pewne – w tomie udało się zebrać jedenaście tekstów; zarówno mięsistych i rozbudowanych fabularnie, „rozrywkowych” i dynamicznych – jak i bardziej stonowanych, „cichszych”, (pozornie) spokojniejszych, skłaniających do głębszej zadumy. Proporcje chyba rozkładają się równo; każdy (choć ponoć nie ma książek dla każdego...?) powinien tu znaleźć coś dla siebie.

Jedno jest pewne – przed Państwem sporo czytania. Z czego, jak wierzę, można się tylko cieszyć.

Radosnej lektury!

Michał Cetnarowski

Jewgienij T. Olejniczak – zadebiutował w roku 2004 opowiadaniem *Frankfurt* („Nowa Fantastyka, Wydanie Specjalne”). Następnie publikował utwory w „Esensji” (*Sztuczne Palce, Czarny punkt, Pasażer*), „Creatio Fantastica” (*Wizyta*), „Nowej Fantastyce” (*Florencja*), „Science Fiction, Fantasy & Horror” (*Pasażer, Według Barnaby*), a także w antologii *Polowanie na lwa* (*Dom Marty*, 2006). Obecnie przygotowuje zbiór opowiadań i powieść dla wydawnictwa Fabryka Słów. W tym roku powinna się ukazać jeszcze jedna antologia z jego udziałem (w hołdzie R.E. Howardowi, twórcy Conana).

O fantastyce i pisaniu:

W moim przypadku wybór był prosty.

Od dzieciństwa zaczytywałem się w powieściach Juliusza Verne’a i Stanisława Lema, a odkąd trafiłem w kiosku na miesięcznik „Fantastyka”, wiedziałem, że któregoś dnia i ja muszę się tam znaleźć – pomiędzy pisarzami tego gatunku. Innej drogi niż „fantastyczna” dla siebie nie widziałem. Udało się. Zadebiutowałem w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Frankfurt*, dwa lata później ukazała się *Florencja*. Można więc powiedzieć, że największe marzenie już się spełniło.

Fantastyka wydaje mi się najbardziej naturalną formą literackiej ekspresji. To, co nazywamy realizmem, istnieje od niedawna i jest moim zdaniem czymś sztucznym, czymś bardzo ograniczonym. Pewnie zabrzmi to banalnie, ale tylko fantastyka daje prawdziwą szansę dla wyobraźni, pozwala na niemal całkowitą swobodę w tworzeniu świata. Tylko ona zachowuje ścisłą więź z tym, co było na początku: ze starożytnymi mitami, z pieśniami greckich aoidów, z arabskimi baśniami. I z opowieściami myśliwych snutymi w blasku ognisk.

Do takiej tradycji – skromnie i pokornie – pragnąłbym nawiązać.

Przede wszystkim chciałbym opowiadać współczesne baśnie o tym, co może się czaić poza światłem ogniska. Czytałem ostatnio książkę o Pigmejach, gdzie znalazłem piękną scenę. Płonie ogień przed skleconymi z gałęzi i liści chatami, wokół tylko ciemne drzewa i odgłosy nocnych stworzeń. Myśliwy o imieniu Cephu opowiada wieczorem historię swojego polowania. Nie jest to zwykła relacja, ale pełnokrwista opowieść – barwna i pobudzająca wyobraźnię. Mamy tu i leśne duchy, które chcą odebrać myśliwemu mięso upolowanej antylopy, mamy i ducha jego zmarłej dawno temu babki. Cała ta afrykańska puszcza naraz rozświetla się fantastyką dzięki wyobraźni niepiśmiennego narratora. Pigmeje zgromadzeni wokół ogniska wiedzą oczywiście, że bajarz zmyśla, ale nie przeszkadza im to w słuchaniu tej opowieści z otwartymi ustami.

Chciałbym być kiedyś jak ten Cephu.

Jewgienij T. Olejniczak

Noc szarańczy

*„I piąty anioł zatrąbił:
I ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na ziemię
I dano jej klucz do studni Czełuści.
I otworzyła studnię Czełuści,
A dym się uniół ze studni jak dym z wielkiego pieca,
I od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze
A z dymu wyszła szarańcza na ziemię
I dano jej moc, jaką mają ziemskie skorpiony...”*
Obj. (9,1–3)

PROLOG

We wtorek 21 czerwca 1842 roku nad północnymi równi-
nami Indii rozwarły się bramy piekieł.

Bestia, która przybyła z lodowatych przestrzeni kosmosu,
nie przypominała starodawnego węża ze średniowiecznych
miniatur.

Planetoida. Monstrualna skała – ponad dziewięć kilo-
metrów średnicy.

Nadchodziła w międzyplanetarnej ciszy, nadchodziła
z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę, nadchodzi-

ła, aby urzeczywistnić makabryczne proroctwa wizjonera z wyspy Patmos. Kiedy dostrzeżono ją przez ziemskie teleskopy, można już się było tylko modlić.

Mieszkańcy południowo-wschodniej Azji mimo wszystko nie wierzyli, że to już koniec, że ich los został przesądzony, że gdzieś w bezkresnych, milczących przestrzeniach zapadł nieodwołalny wyrok. Jeszcze na sekundy przed katastrofą było to przecież zwykłe, upalne popołudnie. Pasterze jak zawsze prowadzili na postronkach krowy i kozy, wzbijając przy tym tumany rdzawego pyłu. Spoceni robotnicy wygrzebywali spod popiołu świeżo wypalone cegły. Sprzedawcy warzyw zachwalali ze swych rozchybotanych łodzi dojrzałe dynie i kapustę, a stacjonujący w Delhi brytyjscy oficerowie leniwie grali w krykieta, mrużąc oczy od słonecznego blasku.

Kij uniesiony wysoko w górę, strużka potu spływająca po plecach. Pełna koncentracja. Trzeba dobrze przymierzyć.

Wstrzymać oddech.

Tymczasem martwa planetoida – wciąż w absolutnej ciszy, jakby cały kosmos również wstrzymywał oddech przed ostatecznym uderzeniem – nieuchronnie zbliżała się do najwyższych warstw ziemskiej atmosfery.

Prawa natury są proste i surowe jak boskie przykazania.

Chwilę później stało się: kij uderzył w piłkę, a skała o barwie ciemnego popiołu brutalnie rozpruła niebo nad Półwyspem Indyjskim.

Bolid wdarł się w atmosferę pod kątem jedenastu stopni. Powietrze, któremu nie udało się uciec na boki przed czołem obiektu, uległo gwałtownej kompresji i rozgrzało się do temperatury pięciokrotnie przekraczającej temperaturę Słońca. Planetoida i znajdujące się pod nią warstwy podłoża wyparowały w mgnieniu oka, a piekielne wichry wyrwały w ziemskiej skorupie krater o średnicy stu dziewięćdziesięciu kilometrów.

Zanim rozległ się huk eksplozji, jezioro płynnej skały pochłonęło Delhi. Zaraz potem oślepiająca kula rozżarzonych gazów stopiła Himalaje, a fala uderzeniowa – powaliwszy

wpierw lasy w całej Azji i dużej części Europy – przekształciła się w grzmot, jakiego nie słyszały dotąd ludzkie uszy.

Był to ryk anielskiej trąby, ryk bezlitośnie rozdzieranego powietrza, ryk obwieszczający całemu światu niewyobrażalną katastrofę.

Odłamki wyrwane ze skorupy ziemskiej miały wielkość gór.

Wiele fragmentów skał wydostało się w przestrzeń kosmiczną. Pozostałe biliony ton wyrzuconego w powietrze gruzu i pyłu przesłoniły niebo nad Azją. Gwałtowne wichry zniosły gorący popiół po całej planecie i wznieciły setki pożarów, których nie zdołały ugasić nawet wielometrowe morskie fale, wdzierające się w głąb wszystkich kontynentów. W atmosferze rozszalały się huragany i trąby powietrzne, z nieba lały się deszcze roztopionego szkła. Ziemia pękała, otwierały się groby, woda wypłukiwała z nich trumny, toczono przez robactwo zwłoki, nagie kości – ponura parodia Zmartwychwstania. Uśpione do tej pory wulkany pluły lawą. Furia ognia i wody zniszczyła tysiące miast.

Ale to nie był jeszcze koniec.

Otworzyły się kolejne kręgi piekieł.

Przez długie dni biły w niebo trujące dymy potężnych pożarów. Ciemnoszare słupy wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Wreszcie dotarły na wysokość piętnastu kilometrów, połączyły się z popiołem, pyłem, sadzą, kurzem i rozpląnęły po całym niebie, tworząc gigantyczną kurtynę.

Nad Ziemią zapadła noc.

Wszędzie wybuchały epidemie. Dzikie zwierzęta zamieszkały w ruinach miast.

Nastał czas ciemności i chłodu.

BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY

— Naplujcie na to wszystko, bracia moi!

Stanisław Filaret Szyłowski uniósł poparzone ręce ku łozom pierwszego piętra, gdzie pośród ciemności i lepkich pajęczyn siedziały już tylko duchy paryskiej socjety. Zamazane

widma o białych jak puder twarzach, z zastygłymi na wieczność uśmiechami, nie zwracały jednak uwagi na barczystego proroka, zajęte wymianą ukłonów i podnoszeniem do oczu eleganckich lornetek.

Balkony i loże Opery należały teraz wyłącznie do świata cieni.

Ale nie było to przedstawienie dla duchów. Na parterze siedzieli również żywi ludzie. Kilkanaście osób zbiło się w ciasną gromadę, zajmując fotele dwóch pierwszych rzędów. Cały parter śmierdzał gównem i moczem.

— Zedrzyjcie zasłonę ze świata tego, jako i ja zerwałem — podniósł głos Szyłowski. — A potem naplujcie na to, co wam pozostało, po trzykroć naplujcie, bo inaczej Szatan złowi was w swoją sieć, wszystkich, co do jednego! — przez chwilę słychać było tylko skwierczenie ustawionych wokół sceny świec. — A łowy właśnie się zaczęły, uwierzcie mi. Czarty są wszędzie! Słyszcie łopot ich skrzydeł pod sufitem. Obserwują nas, bracia moi, latają nad naszymi głowami. Pozostańcie czujni, albowiem synowie czarnych otchłani szukają najłabszych pośród nas.

Ukryty w głębokim cieniu inspektor policji, Gustave Klosowski, obserwował wizjonera, żując kolejne prymki tytoniu i strzykając co jakiś czas śliną – to na podłogę, to na sąsiednie fotele. Zajął miejsce w dziewiątym rzędzie, z daleka od innych słuchaczy. Po pierwsze – nie chciał rzucać się w oczy. Po drugie – nie miał ochoty przebywać w bezpośredniej bliskości szaleńców. Myślał o nich wyłącznie ze strachem i obrzydzeniem. Był niemal pewien, że ich chorobą można się zarazić jak trądem. Jacy to muszą być ludzie, skoro przychodzą na takie kazania?

Jak na ironię, on sam należał do najwierniejszych uczestników tych spotkań. Słuchał kazania już po raz trzeci w przeciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i znał je niemal na pamięć. Choć, szczerze powiedziawszy, niewiele rozumiał ze słów wypowiedzianych przez Poparzonego Proroka, jak nazywano w Paryżu Stanisława Filareta Szyłowskie-

go. Niemniej – jako obowiązkowy funkcjonariusz – sumiennie wywiązywał się ze swoich służbowych zadań.

Sam świeżo mianowany minister policji wyznaczył go przecież do tego śledztwa.

Trzeba przyznać, że mężczyzna zupełnie nie wyglądał na policjanta. Bardziej przypominał podstarzałego, wyniszczonego dandysa – z tymi farbowanymi na żółto włosami pod fantazyjnym kapeluszem, z okularami o niebieskich szklach oraz trzymaną teraz między kolanami laseczką z czarną gałką w kształcie ludzkiej czaszki. Tylko po części był to kamuflaż. Gustave Klossowski lubił mówić o sobie, że ma własny styl, a przełożeni przymykali oko na jego dziwactwa, ponieważ w policji rozpaczliwie brakowało ludzi. Podobnie zresztą jak we wszystkich instytucjach w mieście.

Było mu teraz niewygodnie i zimno, mimo zarzuconego futra, w dodatku znowu miał atak migreny. Marzył już tylko o tym, aby jak najszybciej wrócić do komendy, napić się grzanego wina, zapalić cygaro, a potem spisać raport i zapomnieć o całym przedstawieniu. Może jeszcze przed snem uda mu się odwiedzić palarnię opium.

— Czarty biegają już między nami. Naplujcie na nie! — prorok odwrócił się gwałtownie i splunął na przewrócony pulpit orkiestry. — A kysz! Wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest, nie dla cielesności. Myśli Boga nie docierają już do nas poprzez chmury, co zasnuły niebo. Musimy otworzyć dla Niego nowe drzwi, a to wymaga poświęceń, bracia. Najwyższych poświęceń!

Wariat odgrywający przedstawienie dla wariatów, pomyślał Klossowski. Pośród śmierdzących ekskrementami teatralnych dekoracji. Zapewne niespełniony aktor, któremu widok płonącej Warszawy kompletnie pomieszał rozum.

W porównaniu z tym występem kazania „Zmartwychwstańców”, Vintrasa, Fiodora Iwanowicza Niekrasowa czy choćby tego angielskiego oficera od *Przebudzonego Boga*, wydawały się inspektorowi niemal spokojne i wyważone.

W każdym razie żaden inny prorok nie zachęcał ludzi do wypalania sobie oczu nad świeczką.

— Materia jest niewolą ducha, przyjaciele, a oczy nie są latarniami rozumu, jak utrzymują głupcy, lecz zaryglowanymi drzwiami tego lochu. Uwolnijmy ducha! Otwórzmy drzwi na rościę!

Polak umilkł nagle i stał teraz na tle czerwonej kurtyny niczym tenor, który po przedstawieniu wyszedł pokłonić się publiczności. Ale nikt nie wiwatował, nikt nie klaskał. Balkony były puste, słuchacze, którzy zajęli dwa pierwsze rzędy parteru, siedzieli cicho, w skupieniu wsłuchując się w płynące ze sceny słowa. Ruchliwe płomyki świec powlekały ich twarze trupią bladością.

Kaznodzieja nie widział jednak swoich braci: był ślepy.

Ofiarował swoje oczy Bogu.

— *Hoti chronos ouketi estai*, powiada anioł. Już nie będzie zwłoki — odezwał się znowu ślepiec. — Pozostało mało czasu, a Nieprzyjaciel nie próżnuje. Uwierzcie mi, sztandar jego już powiewa, czarty już formują wojenne szyki. Wyrwijcie oko, które gorszy — wśród ciemnoczerwonych pluszowych foteli rozbrzmiał cichy szmer aprobaty. Szyłowski podniósł głos. — Wyrwijcie oko!

Ktoś zaczął mamrotać modlitwę, a gdzieś z westybulu dobiegł kobiecy śmiech. Wysoki i świdrujący. Obląkana albo pijana, beznamiętnie pomyślał Gustav Klossowski, nawet nie odwracając głowy. A najpewniej i jedno, i drugie.

— Przeszliśmy już przez ogień i przez dymy pożarów. Ale to za mało, bracia moi, czas prawdziwej próby dopiero nadchodzi! Musimy skruszyć naszą starą naturę, podeptać ją. Wyrwać ducha naszego z okowów. Ofiara będzie bolesna, bo tylko nasz ból uczyni ją słodką w ustach Pana. Wyrwijcie oko, które gorszy, bracia moi, rozerwijcie szatańską zasłonę, która oddzieliła nas od Boga, a wkrótce wydamy okrzyk zwycięstwa! Szarańcza spadnie jedynie na tych, którzy nie mają Jego pieczęci na czołach.